

<https://www.tygodnikprzeklad.pl/niegrozni-podjudzacje/>

Niegroźni podjudzacje



AUTOR: **Witold Modzelewski** | Grudzień 16, 2019

Nikt nie słucha naszego gadania o rosyjskim zagrożeniu, groźbie wojny hybrydowej czy zielonych ludzikach

Myśląc o polityce wschodniej prowadzonej przez wszystkie polskie rządy minionego 30-lecia (liberalno-lewicowe, liberalne i prawicowe), należy wskazać co najmniej trzy rodzaje naszej aktywności międzynarodowej: narrację, stosunki gospodarcze i geopolitykę. Ów wschód jako przestrzeń polityczną rozumiem w sposób tradycyjny, czyli jako wschodnią część Europy, którą (przede wszystkim) wypełniają Rosja, państwa pozostałe po rozwiązaniu w 1991 r. Związku Radzieckiego i południowoeuropejskie państwa należące w przeszłości do obozu socjalistycznego. Sądzę, że w tej przestrzeni mieści się na północy Finlandia, a na południu Turcja, ale nawet wyznawcy naszej postmocarstwowości jako „strategicznego sojusznika Stanów Zjednoczonych” nie sięgają wyobraźnią tak daleko.

Zacznijmy od języka (narracji), którym posługuje się polska polityka wschodnia tego okresu. Jest to wrogi, podniecony język, wypełniony ostrzeżeniami przed rosyjską agresją. Nie ma w nim nic, co zasługiwałoby na miano tradycyjnie pojmowanej polityki w realiach międzynarodowych. Nie wiadomo również, do kogo adresowane są oświadczenia o rosyjskim zagrożeniu, groźbie wojny hybrydowej, zielonych ludzikach i agresywnych zamiarach Putina. Mam wrażenie, że wszystkie te słowa służą tylko temu, aby je wypowiedzieć, nie wiemy, jaki mają wywołać skutek. Chyba jest on zupełnie nieważny – nie oczekujemy reakcji, akceptacji ani nawet polemiki. Powiedzieliśmy swoje i już. Przyjęliśmy rolę osamotnionej Kasandry, której zupełnie nie obchodzi, czy ktoś słucha jej głosu.

Jeżeli dobrze rozumiem wizję nieszczęść, które czekają ten region świata, to namalowano ją w sposób następujący:

- Rosja po „agresji na Gruzję, aneksji Krymu i wschodniej Ukrainy” nie zatrzyma się w swoich apetytach, zagrażając (czym – kolejną aneksją?) państwu bałtyckim, a nawet Polsce;
- my „nie oddamy ani guzika”, musimy się zbroić, kupując od Stanów Zjednoczonych drogie uzbrojenie, a przede wszystkim umacniać wschodnią flankę NATO (przeciw Rosji);
- sami nie umiemy się obronić (dlaczego?), więc konieczne jest wprowadzenie na nasze terytorium obcych wojsk; zabiegamy usilnie o stałą obecność wojsk NATO, najlepiej amerykańskich i brytyjskich, a nawet niemieckich, choć one już są obecne na naszych poligonach i trwale stacjonują na terytorium państw bałtyckich, co u większości Polaków rodzi raczej złe skojarzenia;
- naszą rolą jest mobilizowanie światowej opinii publicznej przeciwko „rosyjskiemu zagrożeniu”, nieustawanie w wysiłkach (słownych) i apelowanie (bezskuteczne) o antyrosyjską solidarność państw regionu.

To, czy ktoś bierze na poważnie nasze podniosłe słowa, nie ma dla nas żadnego znaczenia, bo jednocześnie nie chcemy się wplątać w żaden realnie istniejący spór. Przez prawie 15 lat wspieraliśmy słownie majdanową Ukrainę, gromiliśmy, też słownie, rosyjską agresję, ale nie zabolowało nas całkowite pominięcie przy stole rokowań mających zakończyć ten konflikt. Nikt nas tam nie chce, bo nikt nie słucha naszej politycznej narracji. Sądzę, że wszyscy adresaci tego gadania traktują nas jako niegroźnych podjudzaczy, którzy w razie czego podkulą ogon i zostawią partnerów na lodzie. Zresztą co mielibyśmy zrobić w ich interesie? Nie mamy ani środków, ani chęci, czyli tu jesteśmy zaskakująco racjonalni.

Zapominamy też, że w świadomości politycznej nowych państw powstałych na wschód i północ od naszej wschodniej granicy jesteśmy byłym agresorem (podobnie jak Rosja i Związek Radziecki), którego poparcie dla ich niepodległościowych ambicji brzmi zupełnie niewiarygodnie. Ciągłe jesteśmy podejrzewani o chęć powrotu na „ich” terytorium oraz zgłaszanie roszczeń terytorialnych i majątkowych (walka o Kresy Wschodnie). Z perspektywy Wilna czy Kijowa nasze bezwarunkowe wsparcie dla niepodległości tych państw jest czymś wręcz podejrzanym, bo są to państwa ze swej istoty antypolskie i przecież nikt o zdrowych zmysłach nie może w Polsce popierać ich aspiracji. Największe obawy budzi powtórka pokoju ryskiego, czyli podział między Polskę a Rosję stref wpływów na tym terenie. Państwa te nie chcą mieć z Polską nic wspólnego i obawiają się dogadania Warszawy z Moskwą ponad ich głowami. Inaczej mówiąc, jak słusznie zauważyli polscy

politycy przed 100 laty, tylko bolszewicy mogą najwięcej nam dać na wschodzie, bo wszystkie nowoniepodległe państwa są równie antypolskie, co antyrosyjskie.

Nie istnieje chyba również żadna koncepcja polityki gospodarczej naszego kraju w stosunku do państw tego regionu. Wiemy tylko, że:

- mamy się uniezależnić od dostaw gazu z Rosji (ale już nie od dostaw ropy naftowej);
- ma powstać Via Carpatia, która połączy bałtyckie porty Litwy i Łotwy z południowo-wschodnią Europą, czyli kosztem naszych bałtyckich interesów (jakiś nonsens);
- konsekwentnie likwidujemy obecność naszych towarów i firm na rynku rosyjskim poprzez nakładanie na naszych eksporterów sankcji wywozowych;
- poparcie polityczne dla pomajdanowej Ukrainy idzie w parze z utratą ukraińskich rynków;
- tolerujemy, a nawet wspieramy, import rosyjskiego węgla.

Nic nie wiadomo o wspieraniu rozwoju handlu między Polską a innymi państwami regionu, zwłaszcza wzajemnym wspieraniu inwestycji czy ograniczeniu przemytu. Jediną znaną formą integracji jest rozwój fikcyjnego handlu z Litwą, Łotwą, Słowacją i Czechami, mającego na celu wyłudzenie zwrotów VAT, co jest najbardziej opłacalną działalnością, z którą nie może konkurować tradycyjny handel. Wciąż nie stanowią dostatecznie chłonnego rynku zbytu dla towarów pochodzących z ościennych państw, tamtejszy biznes (podobnie jak polski) jest zbyt słaby, aby rozwijać się poprzez eksport na nasz rynek. Jest to nadal rynek zbyt biedny i podzielony między zachodnie sieci handlowe. Czy umiemy wymienić choćby po pięć produktów wytworzonych w każdym z sąsiednich państw, które na trwałe zaliczają się do koszyka dóbr polskich konsumentów?

Na koniec o wschodniej geopolityce naszych niepodległych rządów. Liberałowie i lewica podporządkowali nas polityce niemieckiej. Później pojawiła się koncepcja Trójmorza, czyli jakiegoś regionalnego związku państw wschodniobałtyckich, zachodnioczarnomorskich i wschodniego Adriatyku. Do tej grupy mają się zaliczać także Słowacja, Węgry, a może nawet Austria. Czy jest tam miejsce również dla Ukrainy i Finlandii? Nie wiadomo. Znaczący polityki amerykańskiej twierdzą, że protektorem i inicjatorem Trójmorza są Stany Zjednoczone, które chcą osiągnąć dwa cele strategiczne:

- oddzielić Niemcy od Rosji nowym „kordonem sanitarnym”, osłabić Unię Europejską, uniemożliwiając jej rozwój poprzez integrację ekonomiczną z rynkiem rosyjskim;
- zablokować utworzenie nowego jedwabnego szlaku, który miałby się zakończyć właśnie w tym regionie; tu wrogiem są Chiny.

Wydaje się, że plan ten brzmi dość rozsądnie, jeżeli spełnione zostaną trzy warunki brzegowe:

- do Trójmorza nie będzie włączona Ukraina, która jest państwem zbyt dużym i mało obliczalnym, destabilizującym region;
- dla państw regionu, będących w dużej części zapleczem ekonomicznym Niemiec, będzie to próba wyjścia spod tej kurateli i odzyskania niepodległości ekonomicznej (ale na to przecież nikt w Berlinie nie pozwoli);
- rządy w Warszawie nie będą chciały odgrywać roli lidera, bo federacji z Polską nikt nie chce teraz ani nie chciał przed stu laty, czyli musimy się zgodzić na rolę drugoplanową, co jest zgodne z naszym potencjałem, ale zupełnie nie pasuje do naszych ambicji.

Co wręcz zaskakujące, stanowi to jakiś powrót do koncepcji NATO bis, której autorem był... Lech Wałęsa.

Jeżeli coś wyjdzie z tej inicjatywy, szybko wproszą się do niej Niemcy i przekształcą Trójmorze w nową wersję ich Mitteleuropy, czemu przykłaśnie większość europejskich przywódców i tzw. społeczność międzynarodowa.

W ciągu najbliższych lat nastąpi trwałe zbliżenie między Rosją a Francją i Włochami, czyli cichy powrót do polityki równowagi (trzeci wariant ententy) – Niemcy są zbyt silne, przez co mobilizują Paryż do dialogu z Moskwą. My oczywiście nie uczestniczymy w tej grze, zresztą za wysokie progi. Jednocześnie wrogość wobec Rosji połączona z poparciem dla antyrosyjskich władz w Kijowie wyeliminuje nas na lata z aktywnej roli w nowej polityce wschodniej i zachodniej Europy.

Witold Modzelewski jest prawnikiem, profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, znanym specjalistą w dziedzinie prawa podatkowego, zajmuje się też publicystyką ekonomiczną i historyczną, zwłaszcza nt. Rosji i stosunków polsko-rosyjskich. Autor czterotomowego zbioru felietonów „Polska-Rosja”

Fot. East News/Reuters